

MARZENA DĄBROWA SZATKO



Powrót na Ogrodową

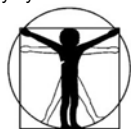
BIBLIOTECZKA TEATRU STYGMATOR

POWRÓT NA OGRODOWĄ

Marzena Dąbrowa Szatko

POWRÓT NA OGRODOWĄ

Klub
Artystyczno - Literacki



Teatr Stygmator

Kraków 2007



OŻYWIANIE ZEGARA

POWRÓT NA OGRODOWĄ

na motywach z Platona

wchodzę w tę ulicę
jak w slajd
pod światło
pamięci

otwierają się zmiłkłe wille
zarośnięte od schodów brzożą
opadają z okien witki
jak z rozwartych oczu
ciemność

niesie się gwar przeszłości
od przyjezdnego śmiechu
pękają drewniane balkony

dziewczyny w letnich kuchniach
myją włosy
rozpryskując z piskiem
studzienne południe
wprost z obitych misek
na przejrzysty kadr
płoszą widok
beztrosko
schodząc uliczką do rynku

wchodzę coraz głębiej w Ogrodową
między ogrody skryte
w cieniu pokrzyw
domy oniemiałe
od obcości lokatorów

wszystkie dróżki znikły
w oczach
nieznanych przechodniów
mrok
jak w fotoplastykonie

CYNAMON

moja babcia
której dziś już nie ma
kiedyś była dzieckiem
naprawdę
była

miała lalkę
z porcelanową twarzą
i nie wiedziała
co to jest cynamon
cy mom cy ni mom
powtarzała
wysłana do sklepu

nie wiedziała też
wielu innych rzeczy
na przykład
że w dwudziestym roku
straci matkę
a w trzydziestym dziewiątym
wszystko

nie wiedziała
że będzie pierwsza i druga
wojna ani co to jest wojna

moja babcia
kiedy jeszcze była
opowiadała nam wszystko
co widziała
całe życie

myśleliśmy
wszystko wiemy

ale teraz
kiedy
jej nie ma
błądzimy szukamy pytamy
cy mom cy ni mom

jak babcia
kiedy była
dzieckiem
i powtarzała
żeby zapamiętać

KRÓTKI WIERSZ O ZANIECHANIU

dla Kubusia

w rozłożystych biodrach
drogi staje się
zaniechany dom

skrajem ogrodu skradają się
iskry jaskrów

zdziczały krzak bzu
wstępuje po schodach
na obity taras
bezzańskie kapią
krople porzeczek

pokrzywy zagroziły drogę
Matce Boskiej Zielnej
z kaplicy pod lipą

jeden anioł stróż
ma wstęp wolny
po wizycie
zostawia otwarte okna
z wygiętymi kołyskami
sienników
mniej więcej raz
do roku

nad rozwartym kominem krążą
czarne krzyże bocianów
z przezroczytymi skrzydłami

DESZCZ W GÓRACH

dla Mikołaja

trzeci dzień pada deszcz
chmury wlewają się w góry
pożerają las grzyby
rozbiegły się w popłochu
po kątach
chowają się dzieci
i płaczą

trzeci dzień upływa
z deszczem
nurza się w wodzie
znużony szemrze po domu
występuje z brzegów
przelewa się przez próg
w drzwiach
stoją dzieci
i płaczą

góry przepadły
jak kamień w wodzie
skurczył się wypłukany pejzaż
nie ma dokąd pójść
można co najwyżej
przez otwarte okno
ptaki zbierać
z widnokręgu
wyciągniętą ręką

dzieci przecierają szyby
oczy
mrużąc wykręcają namokły widok
i kładą pod poduszki

miętko faluje
rozpostarta poszewka świata

KONIEC LATA

wszystko niby zwyczajnie

wracamy z lasu
w kapeluszach z grzybów
nad domem
bocian prostuje skrzydła
matka czyta na balkonie

robimy fotografie
na zimę
po pas zanurzeni
w gorącym aromacie ziół
w spienionych pokrzywach
nad potokiem
wiatr miesza
do samego dna
lata
trawy wygrzewają się
na słońcu

niby wszystko zwyczajnie
tylko dym szamocze się
z niebem
i to stare drzewo
jakby zbierało się do odlotu

kogoś ubywa
burze nadchodzą

UMIERANIE WSI

konające wsie
prowadzą z sobą na rzeź
zrudziałe tory kolejowe
i wiatrak ze zwichniętym skrzydłem

przemykają chyłkiem
przed rozpędzonymi oczami
samochodów
kryją się za wydziobanymi sadami
przed natręctwem autostrad

ciężarówki z podkurczonymi kołami
omijają te miejsca z daleka
słyszą tylko
jak biegnie okolicą
ich przeciągłe wycie

w odchodzących wsiach
nawet jabłonki odwracają się
od drogi
opuszczonym gościńcem
idzie na cmentarz stara kobieta
z pochyłym bukietem łubinu

polami odchodzą kretowiska

NOC POŚLUBNA

ostatnia dziewczyna
z tej wioski wyszła
za mąż w październikowe południe

o zmierzchu zakołysały się
gałązki wisienki pod remizą
i wiatr porwał ostatnią
pajęczynę lepki
welon z głowy panny młodej
wtedy odleciały cukrowe
gołąbki z błękitną
wstążeczką w dzióbkach
poplamioną wiśniowym sokiem

muchy obsiadły resztki
weselnego tortu
czarnym
deszczem
spłynął
znad drzwi napis
Szczęść Boże Młodej Parze
tylko goście jeszcze tańczą

betonowym dziedzińcem kluczą
rozmyte litery strużki
pobożnych życzeń
piórko
zapada się
w poduszkę kałuży
przepaście chmur

za oceanem ziemia
obiecana

GWASZ PODMIEJSKI

ulica Daleka uciekła za miasto
Okrężną drogą
przebiegła wśród garbatych płotów
ukłękła na bezdomnych schodach
pod pobielonym niebem
przygarnęła czarną jabłonkę
okaleczoną jabłkami

na Dalekiej palą liście
z siwego dymu ogniska
wytoczyły się kury jak tłuste rogale
z pszenicznego ziarna
koguciska szumne
jak rumiany ogień pod blachą

muchy czarne dziurki w ciszy
pocięły obrazek nożycami lotu
ledwo się trzyma
na zszywaczach
załzawionych oczu

mgła skleja
Daleką z miastem

MALOWANIE NIEDZIELI

na motywach z Dudy Gracza

niedziela w Ł. zaczyna się
dwie ulice przed obrazem
spod -tego na -tej
wychodzą na miasto panny
o twarzach ciężkich jak węgiel
marszczą się od przeciągu
batystowe koszulki opadają
sukienki odlatują rozchylone
pończoszki

wchodzą całkiem gotowe
na ten placyk za szopą
zamknięty
w ramach popołudnia
ultramaryną pachną ich wyprane ręce
i niebieskie oczy
gdy się rozsiadają
w geometrii otwartych
okien trójkątnych dachów
i sztywnej bielizny
na plecach kamienic

teraz mogą stroić
miny ciała do chłopaków z podwórka
grać na zaplecionych strunach
łydek zakwitać bukietem rąk
piersi odsłaniać po łodyżki
zwilgotniałych warg

ale chłopcy wyrosli wyblakli
nie ma ich na ławkach
tylko ksiądz i kominiarz
obaj czarni
od sadzy od grzechów od lat
zastygli
z założonymi skrzydłami

niedziela w Ł. ślizga się po murach
liście na topolach
wspinają się
coraz wyżej
do szczytu gałązek
za obraz
z niebem połatanym
w kolorze
sepii

ÓSMY MIESIĄC

na motywach z Dudy Gracza

sierpień ciągnie po drogach
wysysa oleiste kałuże
kołysze ciężkimi wzniesieniami

włóczy za sobą podmokłe łąki
obrzęknięte od komarów
miękki zapach obornika
z buraczanych zagonów
i wielki wóz
z sianem przetacza
przez omdlałą okolicę

popękany brzuch pól
wschodzi lucerną
zboża kładą się od upału
po horyzont rozpościera się
duszny pejzaż
z kosą przyczajoną
za każdym drzewem

nadciąga
nieuchronny czas
zbiorów

POŻEGNANIE PEJZAŻU

rozstajemy się raczej
bez żalu
wschodzi nade mną
staranny cynober twoich ust

tapeta wsiąka między cegły
poszarpanymi żyłami
na ścianie zostają
srebrne od świtu trawy
w odrapanych ramach
landrynkowy pejzaż
z rzeką i domem bez światła
łatwo rozpuszcza się
na języku dnia

wyprowadzamy się
fajansowe koty na tarasie
przeciągają się potajemnie
szarpiąc czerwone wstążki
zawiązane na szyjach

W OKNIE

na werandzie
z uchylonym oknem
rozbieram się
z twoich dłoni
drga firanka rzęs
pierzcha powietrze
ptasiego koloru
odlatują
szerniałe drzwi
od altany
wśród malinowych krzaków

gasną cienie zostawione
przy stole
odchodzą słoneczniki
więdną godziny
kropla po kropli
dni wsiąkają w mrok

trup parasola
leży w ogrodzie
jak zwiotczała skóra lata

na parapetach jesieni
drętwieją owady
wydrażone skrzypce
z pozrywanymi strunami

ze szczelin nocy
ciągnie kurzem

PORANNOŚĆ

świt rozdarty sygnałem
ambulansu

spłoszony ptak
przecina okno
czarną błyskawicą
na dwie nierówne połowy
skrzydła deszczu
biją o parapet
z jednej strony
zapada się kołdra
rozchodzi się
ażurowy zapach nieobecności
pisk domykanych drzwi
szelest schodów

rozdziawiony pysk tosteru
straszy czarną otchłanią
krtusi się
ekspres do kawy
wytrącone z równowagi
szafki plują bielizną

myśli gonią się pod lampą
gonią się pod lampą myśli
pod myśli się lampą gonią

brzęczą

ODOSOBNIENIE

niebo przeszyte błyskawicznym
zamkiem odrzutowca
chmurzy się gwałtownie

zgniłozielony zmierzch
wypędza latarnie na skraj rynsztoków
prószy wilgotną mgłą

ulicami pełzną
złote węże ze światła
iluminacje tramwajów i reklam

napadnięte kałuże
uciekają spod kół samochodów

miasto wypluwa
skowyt
syreny
karetki reanimacyjnej

Nikt krzyczy
przez sen
bez ciebie
jestem nikiem

umiera na serce

TRĄDZIK WIOSENNY

na krzewach młodzięcza wysypka
rozpoczyna kwiecień
od ciepłego wiatru
falują biusty reklam
i dachówki
zlatują ze szczytów
kamienic
na ulice
wylegli straganiarze
wróżki i tanie prostytutki
zbierają połamane
skrzydła i inne śmieci
do dziecięcych wózków
posyłają latarnie
po wódkę

nocami
za oknem słycać kroki
na wietrze
rozbiegły się drzewa
i księżyc wpełza
po murze na balkon

spierzchnięte światło
udaje
odrapany dzień

WRZESIEŃ 2001

masz jeszcze w ustach
zapach snu
to jest zapach
skoszonego lata
ulica toczy się obok
ze zgrzytem
niebo szczyrzy
spróchniały ząb księżycy
na odchodzące latarnie

pod niebieskim mostkiem
wybrzuszona od deszczu rzeka
niesie szczątki
stołów łóżek i lamp
głowy płyną pod prąd kluczą
wśród przemoczonych skrzydeł i nóg

na murach płotach i słupach
łuszczą się powieszzone twarze
niektóre bez oczu inne
z wydartymi ustami
rozkładają się umarłe
daty kawałkami opadają słowa
i dachy obnażone
wśród łysiejących topól

powietrze jak zardzewiała spluwaczka
napętnia się powoli
rannym słońcem

MIEJSKI BLUES

kolor tego nieba
jest niepewny
gdy ciemnieje
napadają mnie rzędy
miejskich latarni
jednonogich ulicznych

kluczę wśród zatrzaśniętych
kamienic potrącając wykrojone
dachami obrzynki
powietrza
brunatne lub zgniłozielone

po wrzącym dniu
skóra fasad odpada płatami
z piskiem
skrzydeł zlatują się
gołębie
w zarzuconych drutach
więzną zbite
wróble strzępki spalin

za szybą ulicy
szczekanie psa
ledwo widoczne

LISTOPAD

bezlistne światło
wydyma żaluzje
wsącza się w mrok
uśpionych ciał
u wezbranych wezgłowi
młaszczą budziki
przezuwając czas
nadziany na wskazówki

listopad
umarły wszystkie początki
wierszy zdania
rozpryskują się w oczach
jak pierwszy lód
na kałużach
słowa w-zdychają
przed odejściem

z bram ciągnie naftaliną
wiatr rozwiązuje balkony
porywa słowo po słowie
błamy i pelisy
zmartwiałe od przymrozka

ptaki
zawraca w locie
rozmiata ulicznych straganiarzy
wróżki i muzykantów

biała dama
kaszląc w pośpiechu
zbiera rekwizyty
do podróżnej torby
zdrapuje z twarzy
złoconą maskę pałdziernika
odlatuje
w mroźnej etoli
na atole
szeleszczących mórz
nie wiadomo gdzie

ETIUDA KATOWSKA

listopad jak kat
ścina różom głowy
drzewa obdziera z szelestu
aż do nagiej kory
dobija ogrody
jednym sztychem mrozu

ptakom wciska igły
łodu pod skrzydła
chwyta je za gardła
w locie
i rzuca pod ściany
kamienic

podpalone wczesnym zmierzchem
okna wieszają
na murach
pluje im w twarze
gęstniejącym deszczem

o świcie wybiera szkło
z posiwiałych kałuż
ostrożnie
by palców nie popłamić
niewczesną czerwienią

RODZINNY ALBUM ALBO POZNANIE

na tej fotografii jest ciepło
za naszymi plecami
ktoś objął przypadkiem
świecące miasteczko
z kominami różowymi
od zachodniej strony

jeszcze nie zwiędły kwiaty
ułożone w bukiet
na twojej sukience
i nasze dziecko
nie zdążyło wbiec
na pierwszy plan

serduszka topól
przystały migotać
na moment
a tam pod płótnem zobacz
czai się kot
nie kot pień
starej jabłunki
bezszelestnie
ściętej w biały dzień
naszego wesela

FOTOGRAFIE LETNIE Z GRUSZĄ W TLE

popatrz tu jest
ta krzywa grusza
co rosła za siatką
od zawsze
stara rodziła
co wiosnę
śpiewające szpaki
w budce
pod piątym zębem
i kwaśne łyzy
brunatniejące od przymrozków

w duszne popołudnia
otrząsaliśmy z niej
chybotliwe żdźbła cienia
i wątły poszum
jakby skrzydeł

w sierpniu
pod nieobecność anioła stróża
spłonęła od pioruna
tak szybko
że nie zostało nawet puste miejsce
na fotografii zobacz
zaraz zarosły jej
gałęzie sadu
i krzaki porzeczek
błyskawicznie wkroczyły
na pierwszy plan
trawy oświetlone zuchwałym słońcem

SZUKANIE LATA W POLU

tamte pola
niby znużone moim zapatrzeniem
przeciągają się pod śniegiem
z jednej na drugą
stronę krajobrazu
wabią moją pamięć

tak tędy szliśmy
tędy
albo tamtym brzegiem
rzeczywistości

strumień przystanął
pod lodem
jakby go nie było
wcale

inne psy szczekają
po opłotkach
inne dymy pną się w niebo
koślawe jak dzika wisienka
na skraju znajomej przestrzeni

wiele kamieni
urodziła ziemia
od tamtej pory
postarzały się strachy
na wróble
nie do poznania
i ślad nie został
po trawach
tamtego lata

tylko skostniały głóg
stoi na swoim miejscu
obrzezony zmarszczkami
pocałunków

więc to tu
tak to tu

drzewa się stają
niebieskie
od zmroku
i od mrozu
powietrze
pachnie nagle
sianem i wiśniami

ZAPACH LAT

miasteczko O.
gdzie znalazłam się przypadkiem
przechodzi przez tory
po starym wiadukcie

tętniące drewno pachnie latem
w M. i wspina się
na znajomą wysokość
skąd widać całą okolicę
nawet dom pod jabłonią
którego nie widać
z innego miejsca
pamięci

jeśli wysilić wzrok
i przysłonić oczy
można dostrzec
rynek z kapliczką świętego
jadłodajnię u W.
i nawet
białą plamę
śmietany na zupie
szczawiowej

właśnie wstała od stołu
mała dziewczynka
z owocowym lodem
na patyku
trochę zamglona
idzie po wstążki
na sukienki dla lalek
i po upragnionego psa
z kawałków
króliczego futra
do kiosku z pamiątkami

jest o parę kroków
prawie
na wyciągnięcie ręki
już wchodzi po stopniach
tupiąc sandałkami
tuż tuż
sukienkę porywa wiatr
na wiadukcie w O.
potykam się
o zrudziały ogryzek

lato pachnie
trochę kwaśno
zielonymi jabłkami

MARTWA NATURA Z ANIOŁEM

Magdalena wiesza obrazy
wyciąga z kufra babci
obłożone żółtym papierem
dzieciństwa
portrety godzin
i pradziadków

Madonna o pięknych dłoniach
przemawiała do niej nieraz
nocą gładziła wzburzone morze
ścian w złoconych ramach

w kolebce
krochmalonej halki na biodrach
bujnych jak wrota bukowej zagrody
niosła sen kwiecista
Matka Boska z gór
oprawiona w wypalane drewno

jest jeszcze młody ułan
przed śnieżnobiałym dworkiem
zatrzymany nauczyciel pożegnań
i dwie haftowane pensjonarki
z nieopatrzną plamką
poziomki
po lewej stronie
dziewiczego lasu

nad nimi zawsze będzie stał
wieczorny Anioł Stróż
i poprowadzi do żywota wiecznego
bratki z rabatki babci
całe z krzyżyków

w domu bez ścian
Magdalena wiesza obrazy
każdy z dzieckim w tle
jak lustro

naraz z martwej natury
odłamał się promyk światła
i bezwładnie
gaśnie

KONIEC WIEKU (ODJAZD)

pod twoim oknem
kielkują nasiona mgły
zasiane wczoraj
przed wieczorem

na oparciu krzesła
załamana trochę przy szyi
odpoczywa twoja koszula
z podkurczonym rękawem

ściany odetchnęły
zdjęto z nich ciężar
twoich rzeczy
zostały tylko gwoździe
po półkach
wśród sosnowych sęków

schody prostują
sterany kręgosłup
z westchnieniem
idą do nieba
same

stamtąd
z okna na strychu
widać wszystko
przez żaluzje
gałązek
przeziąka mgła
osty siwieją
na górach
jeszcze słońce

a ty jeszcze tu już nie tu
już tam jeszcze nie tam
kluczysz w tłumie samochodów
coraz bliżej coraz dalej

KONIEC WĘDRÓWKI

to już tak niedaleko
łąka pęcznieje
w wymionach krów
wysuszone marszczą się łyzy
porzeczek
miąwszy śliwki odchodzi
od pestki

po zagrodzie
pełzną cienie
okolicznych drzew
coraz dłuższe
grubiej
siadają
na pochyłej ławce
przy płocie

z lasu
który się obsunął
po ostatnich deszczach
biegną głosy chłopców
rosną
z każdym krokiem
bardziej dudniące

dym spada
z dachu
na nowe domy
nowe dzieci

to już tak niedaleko
uschnięty buk
chwyta się nieba
od zachodu
różowe jaskółki
plączą się w gałęziach

a tam gdzie szliśmy
drzwi
zarosłe pajęczyną
i kłódki wiszą
na okiennicach

OŻYWIANIE ZEGARA

ten stary zegar
bezgłośnie stał
w kącie
godzin
nam nie liczył
ani lat

serce
odłączone od krwiobiegu
czasu
trzymał za szkłem
owinięte
w stare wiadomości

opuszczonymi wskazówkami
obejmował nas
niekiedy
nad stołem
razem

służył nam nieruchomo
od pół wieku
za schowek
za kryjówkę
za skrzynkę
bez nadziei
na bicie serca

tymczasem
zabiło

nas

zbrojne w niechybną tarczę
nieopatrznie
uderzyło
godzinę

ZACHÓD SŁOŃCA W SIERPNIU

morze jak rozpruty brzuch ryby
unosi się urywanym oddechem
nad pęcherzem słońca
rozsypane łuski chmur
rozkleja wiatr

ranna mewa
zachłyśnięta lotem
wbija się w wodę
jak nóż
kwili w potrzasku
rybiego serca

morze sinieje
w nadchodzącym fiolecie
wrzosów

KRAJOBRAZ POWULKANICZNY

siedzą przy stole
w osiwiiałych oliwkach
trzeszczą cykady
schną szkieleciki
winogron
słońce pożera balkonik
z białego kamienia
i drzwi na drugą stronę
tarasu
malowane na niebiesko

za nimi może
morze może nic

na urwanym brzegu
zostaną
puste krzesła książki
okulary pełne
mroku
niedowierzenie

że są
gdzie są

(Santorini, 2002)

ZMIANA DEKORACJI

dzień wślizguje się w szczeliny
zapuszczonych murów
łopocze żaluzjami
przykleja do parapetów
dzieci i gołębie
zaułki zapełnia przepychem
świętych ogrodów

Sycylijki
śniade panny
ze złotymi kołami w uszach
pachną korzennie i gorzko
uśmiechają się
od uda do uda

Sycylijczycy
kołyszą biodrami
swoje motory
ruszają z piskiem
dziewcząt

wiatr zmienia dekoracje

na balkonie wieczna
wdowa wiesza
czarne suknie i pończochy
przykrywa folią
bo zbiera się
na deszcz

siwy sprzedawca pochował
róże w plastikowej torbie
przysiada
na wędrownym krześle
pod barem
zastyga z kawą czarną
jak noc

(Palermo - Kraków, 2003)

PODGLĄDANIE ŻYCIA W RZYMSKIM ZAULKU

kiedy robiłeś zdjęcie
patrzyłam z tobą
w ten zaułek
widziałam
światło i cień na murze
odchodzącą od tynku farbę
zamknięte okiennice
otwartą rynnę
niebo
odkreślone perspektywą
dachu
kamienie chmury kamieni

dopiero na fotografii
dostrzegłam
różę omdlałą na bruku
i rozciągnięty kształt człowieka
pod ścianą z ochry

a między nimi
na kilku centymetrach
błyszczącego papieru
nieskończone światy
możliwych historii

i ta jedna
która się nie wydarzyła
naprawdę

OSOBY DRAMATU

REALIZM

Chrystus z obrazu Lotta
poci się i płacze

krople światła
utoczone ręką mistrza
przyrosły do twarzy pod krzyżem

zatrzymane okamgnienie
krok
na odwiecznej drodze
ku Golgocie

rzeczywistość wycieka
z ram

WARIATKA Z GOŁĘBIAMI

na motywach z R. Magritte'a

bosymi stopami brodzi
wśród chmar
gołębi w furkocie
lancetowatych piór
błądzi po korytarzach ulic
ze skrzydłami
we włosach
unosi się nieporadnie bijąc
powietrze
wyplątuje z głowy
ptasi szelest
ptasimi palcami
wyjmuje z otwartej klatki
ciała
popielaty trzepot
deszczu

i zostaje naga
naga
aż do wnętrza
jak pisklę
ze skórą porażoną
zagiętymi dziobami

gołębie
opadają z niej
bezgłośnie
jak zwichnięte
kartki papieru

zataczają się
od ściany do ściany
ciasnej przestrzeni
tłustymi brzuchami tłuką
o wydęte przepierzenie
między obłokami jawy

(a wtedy on ją maluje
unoszący pędzel
i w locie
dokańcza jej ręce
od ramion do dłoni
żeby zaistniała)

KOBIETA KTÓRA CZEKA

*„A może już za późno na gości?”
(M. Pawlikowska-Jasnorzewska)*

mój miły zabłądził
między zielone pagórki
zwleka
z pól zieleń
i jabłka
zrywa
w zdziczałych sadach
ale przyjdzie
choć pora
już spóźniona

rozpuściłam dla niego
włosy rozplotłam
dłonie usta
składały powitanie

tak pora była
już spóźniona
w dzbanku marła
wczorajsza róża
sufit chwiał się
na mojej głowie
zanieiony stopami
na próg

czas posiwiął
skurczyły się sukienki
oślepyły moje okulary
zapomniałam
że miły mój
przyjdzie

ale wciąż czekam
z otwartymi rękami
w otwartych drzwiach
z widokiem
na granatowy sad

słyszać stukanie

to rozsycha się
drewno

WYPRZEDAŻ

wykrojona z pośpiechu
podróżnych
uczepiona ściany
w tunelu pod dworcem
sprzedaje
po kawałku
swoje życie stare
szpilki z noskiem
obdartym ze skóry
bluzkę z wyciętym
dekoltem
rękawiczki bez palców
ociemniały pierścionek
szczerbaty grzebień
wszystko nikomu niepotrzebne

jak woskowa figurka
stoi nad swoim życiem
rozłożonym
na zbladłym ręczniku
skrzyżowanymi rękami
ciśnie do piersi
pomarszczoną torebkę
nuci jej z cicha

coraz mniejsza
coraz mniej kształtna
ścianie podobna
topi się
w podziemnym
przejściu
między trzecim a
ostatnim peronem

LEKCJA MATEMATYKI NA SIÓDMYM PIĘTRZE SZPITALA DZIECIĘCEGO

on wrócił właśnie
stamtąd skąd inni
nie wracają
ale wciąż jeszcze
mieszka pod niebem
nad drzewami

stamtąd widać wszystko
trochę inaczej
ludzie ptaki samochody
różnią się
nieznacznie kształtem
zbliżonym do odcinka
szyny tramwajowe
wyjęte z zakrętu
przypominają
znak równości
ze stokrotek została
tylko ich stokrotność
zbiór podobny
do nieskończoności
albo prześcieradła

on wrócił właśnie
już pozwalają mu
wstawać prostuje się
jeszcze niepewnie
znak zapytania
wielka niewiadoma
iloczyn
niewymiernych czynników

w sterylnym
prostopadłościanie separatki
słysząc szelest
szpitalnych wind
albo skrzydeł
do góry
 na dół
do góry

ANNA WCHODZI PO SCHODACH

Anna wnosi schody
na wysokość
drugiego piętra
stopień po stopniu
mozolnie
ciągnie za sobą
martwego kurczaka
oskubanego z lotności

sandały Anny
złożyły skrzydła
na podeście
od-de-ech
spłoszony
trzepot serca
zdradziecki wąż poręczy
wyślizguje się z dłoni
i zygzakiem umyka
pod niedostępne drzwi
strychu

o-dd-ech
o-o-ech

z tupotem
skrzydlatych tenisówek
przelatuje obok
anioł ze skakanką

zdziwiona jaskółka brwi
unoszą go prosto do nieba
mieszkania
na trzecim piętrze

DWIE KOBIETY NA MOŚCIE

*motto: Będziemy się spotykać
choć się nie spotkamy*
(Barbara Gruszka-Zych)

spotykamy się
w zbliżonych okolicznościach
dzieci i pół nazwiska-
wszystko co zostało
po mężu
zawód - szczęśliwie niezależny
przeszłość - przejściowo wspólna

tak to ja jestem
tą kobietą o której pisałaś
gdy palił się twój próg

tak to ty jesteś
tą kobietą
z moich wy - Braque'owanych wierszy

wystarczy kwadrans
po dwudziestu latach
by wiedzieć

wystarczy smużka fusów
na brzegu filiżanki po kawie
by widzieć

dwa brzegi rzeki
środkiem płynie czas
wzburzony porywa mosty

PŁASKORZEŻBA Z OBOLEM

proszę państwa to jest kościół
gotycki z cenną płaskorzeźbą
kamienną na ścianie bocznej
w załamaniu muru widać

zmurszały grajek
wbil się między cegły
jak złamany
filar zniknął za witrażem
w drucianej oprawie
i brzdąka na żyłce
rytm kulawy
rozciągnięty na szkielecie
bałałajki
kurczowo
trzyma się ściany

ludzka rzeka przepływa
podmywając mu stopy
chłodem

na wydętym dnie
pustej puszkii po sardynkach
uwięzłej w rynsztoku
jak wiekowa łódka
rdzewieją
jego obolałe oczy

przeprawa przez
dzień trwa całą wieczność

proszę państwa dalej dalej
ma się na deszcz

z brzękiem pęka
tama
chłopiec z plecakiem
zawraca pod prąd
i rzuca ślepcowi
pod nogi lizak
dwuzłotówki

niebo się otwiera
i parasole

PORTRET KOBIECY Z MIASTECZKIEM W TLE

prowinjonalne poetki
szminkują wargi
jak wskazówki zegarów
przykrywają różem
bibułkowe róże swoich policzków

wystawiają na widok
publiczny swoje
lukrowane serca
pęknięte
obrazki z odpustu

opiewają miłość na czarno-
-białej fotografii w ramce
a nie widzą jak
w smutnym welonie
pajęczyny
dogorywa tęczowa mucha
nad głową panny młodej

opisują srebrny smak
szampana pomijając
tłuczony brząk szkła
i malują falbanki ślubnego stroju
bez kapiących
nici
sztucznych pereł

pod wygładzonymi sukienkami
chowają zwiędłe kombinacje
z koronką
i niczyje brzuchy
sekretne lustra
miasteczek z krzywą wieżą
kościół nad remizą

WSZYSTKIE NASZE DZIENNE SPRAWY

w miasteczku N. garbatym i ułomnym
nad zapomnianą stacją kolejową
gruchocze pobielony gołębnik
zamiast pociągów stoją jak bociany
semafory z opuszczonymi skrzydłami
brodzą w burym ścieku z farbiarni
pod domem kochanki proboszcza
w świetle okna widać cienie
jak się zapijają cierpkim winem z głogu

były burmistrz osiadł nad sklepem
NOCNYM wśród gwiazd z napuchłym
rogalikiem C w nazwie
może spać spokojnie
odkąd został kierownikiem wysypiska
śmieci niezgorszy interes starcza
na chleb z masłem
pochlebstw

w krzywej bramie cmentarnej
szurają obcasy wszyscy idą oglądać
cud mosiężny Chrystus zmartwychstał
prosto z krzyża
zostały dziury po gwoździach w spróchniałym
drewnie i złocone litery
I.N.R.I. to się już nikomu nie przyda
za przywiędły wyrzut sumienia
można ostatecznie dostać
pół ceny

a u cioci Oleńki jak u Pana Boga
za piecem nawet kościół zagląda
przez podniebne okno trzepotem
anielskich skrzydeł gładzi dzień
i wszystkie nasze ciemne sprawy
przebudzone sygnaturką świtu

ANDZIA ELŻUNIA OLEŃKA

w małych miasteczkach piołunowe panny
grzeją wytarte łokcie w stertach czerwonych
poduszek na parapetach nucą romanse
listy miłosne piszą na serwetkach
haftowanych chusteczkach z koronką
misterną jak piórko
smażą konfitury na wolnym ogniu
swoich serc
zawijają na palcach obrączki z loków
coraz rzadszych od trwałej ondulacji

noszą krzyżyki drobnych imion
nie wybaczone im że nie dorosły
naprawdę niczego im nie wybaczone
nawet tych którzy o nich zapomnieli

tak czekają czekają odpustowe baloniki
nadmuchane marzenia wieszają na klamkach
dbają o koty psy i papużki
pilnują się uważają na siebie
na stosiki piramidki filizanek w kwiatki
wyszywane makatki flakoniki obrazki
odmieniają przez przypadki
zaimki osobowe czasem przez osoby

świty tkają na drutach pośpiesznie
zatrząskują ciężkie drzwi nocy
przestawiają gotowe walizki liczą
przefruwające pociągi z wydętych balkonów
zbierają palce celuloidowej lalki
rozrzucone przez ukochaną suczkę
szarpią
hamulec bezpieczeństwa

tak wstępują powoli w krajobraz
z podpisem ZABRANIA SIĘ
na bramie cmentarza więcej zakazów
nie umieszczono

KELNERKI Z BARU NA ROGU

kelnerki
na obnażonych nóżkach
przechadzają się między stolikami
wabiąc gości
różowym carpaccio
swego ciała
skropionego sokiem
zimnej opalenizny

przystawki
podane do konsumpcji
za niewielki napiwek

czasem patrzą
kilka kroków do przodu
poza szyby baru
i wzdychają
że śliczna
ta panna młoda
w welonie
że tak jej się udało

i składają
grosiki w banknoty
na sukienki zwiewne
i białe
pantofelki pełne
szczęścia
w opalowych odcieniach

czasem można je spotkać na mieście
wciśnięte w kąty tramwajów
siedzą jak znoszone
kostiumy
chowają pod krzesła
pokaleczone szpilki
ze złocistą klamrą
pamiątką
spełnionych marzeń

SZKIC DO PORTRETU MATKI NA TLE

zabiegany dzień
owinięty podomką w kwiatki
przycupnął za stołem
zmierzchem podparł fraszobliwą brodę
takie trudne te wiersze westchnął
garnki ziewają w zlewie
trzeba iść

ale nogi takie ciężkie
jak cały stół zarzucony
papierami po wnukach
wszędzie ponieważ się
niepokój spadających
z sufitu trupków
wieczornych muszek

co mówisz tak trzeba
trzeba wstać

trzeba wpuścić gości
już wchodzi
ludziki do telewizora
stamtąd od strony ulicy
tupot butów zagłusza
szmer smutku
tłum zasłania
opuszczony
domek z plastiku
na zakręcie
pamięci gorzki zapach
trocin wymiecionych
po

kaszel kaszel
to te samochody
tak szczekają na ciszę

STARE MAŁŻEŃSTWO

patrzą sobie w oczy
i widzą
naprawdę
widzą
do samego dna
przepaści

dostrzegli ją nieoczekiwanie
w miejscu
zwietrzałych skał
na których budowali

więc chwytają się
rzesz żeby nie stracić
równowagi nie poślizgnąć się
na wytartym spojrzeniu
nie upaść
za głęboko

za wiele przeszli razem
śliskich ścieżek
żeby zaufać

więc patrzą sobie w oczy
strachu
jeszcze
patrzą

MARIA MAGDALENA

w opuszczonej sali
bez światła mówisz
nie mogę się modlić

ściągnięty twoim wzrokiem
w oknie staje
mur poraniony
jak mapa świata

tam wisi mówisz obraz
czy to jest
naprawdę
ona widzę siedzi na tronie
a nad nią aniołowie
w o - tworzonym niebie
z gwiazdami śnieg
śnieg mokry wiruje
kula ziemską
pod stopami tronu
ona płacze płacze
światło koło niej

czy pani to widzi
na pewno pani widzi
chwała Bogu

zapalają się latarnie

OSTATKI

Babci Neli

babcia zasuszona
jak klonowy listek
porysowana w kreseczki
przezroczystych żyłek
owinięta bibułą
zmarszczek
już prawie znika z drzewa
świeżo malowanego
szronem

coraz ciaśniej omotana
siwym kokonem
rozsypuje się na proszek
wspomnień
tysiące dni
tysiące wiotkich kobiet
wirujących na wietrze
walca
niesionych na palcach
w trzepoczący dotyk krwi
aż się rozproszą
w zapach słońca o zachodzie
różowy puder na policzki
zwietrzałe

PODZWONNE

tak pani pięknie wyglądała
w trumnie
kiedy umiera się w zimie
trzeba umieć o siebie zadbać
więc trzewiczki czarne
te nad kostkę wełniane pończochy
czarny toczek z woalką rękawiczki
ze skóry i leciwe futro
zza Buga
w dobrej jednakże kondycji
utrzymane

wszystkim w rodzinie
nie w smak była
ta pani zimowa śmierć
nad pieczystem i rosołem
całą stypę żalowali
każdego baranka
z karakułowego błamu
niedoszli spadkobiercy
od lat ciągnęli losy
zasłużone i niepodzielne

gdyby umarła latem
mówili kochana cioteczka
wzięłaby tylko suknię tę przylegającą
z czarnego jedwabiu i rękawiczki
z atłasu pantofelki na obcasie
czekały w przedpokoju
zawinięte w gazetę

latem droga wydaje się krótsza
nawet ta na koniec
świat-ł-a
pani już wie co się wydaje
tymczasem tak pani pięknie
w tym leciwym futrze
zza Buga

TAK ZWANY OBRZĄDEK ŚWIECKI

był sobie człowiek wuj mego dzieciństwa
leży obok oniemiałej wdowy płaczącej córki
czcimy go minutą ciszy odwozimy
melexem na kwaterę wcale nie wieczną
ziemia przyjmie go na jeszcze jedno życie
najwyżej o niebie tu się nie mówi

ci co tu byli przed nami
przywieźli składany katafalk
przerobiony ze szpitalnego łóżka na kółkach
nakryli brązowym aksamitem
z oberwanymi frędzlami w kolorze srebrzystym
zapalili wieczny znicz na czarnym stojaku
odrapanym na szaro

wiecznie smutny nietoperz w rękawiczkach
(jakieś dwadzieścia lat do emerytury)
odczytał kalkowane wspomnienia
i długowieczną laurkę życia
(dziewięćdziesiąt lat - piękny prawie wiek)
na koniec zapewnił zmarłego
o nieustającej pamięci wśród żywych
to jest jakieś jedno jeszcze życie
najwyżej o niebie wciąż nie ma tu mowy

pod kierunkiem (BATMAN FOREVER)
oddaliśmy hołd pamięci minutą ciszy
przyjaciele zagrali na trąbkach
parę kawalców z nut żeby nic
nie pomylić trudno wszystko spaamiętać

potem przyszli ogrodnicy
w zielonych spodniach
za drobną opłatą zakopali trumnę
nie czyniąc większej nadziei
na obfite plony

PODDASZE CIOTKI WIKTY

ona ciągle mieszka tam
gdzie kończą się schody
zbiera po strychach gołębie
piórka
i klei z nich pawie
muszelki przerabia
na skrzydlate grzbiety fal
znane z obrazka
w gazecie
a gufrowaną bibułkę
na kruczoczną baletnicę

nim zaświta
wysyła swoje figurki
do figurkowego nieba
i pośpiesznie wpuszcza dzień
przez okna
rozmawia z gołębiami
gdy wschodzą

od ciągłego dreptania
po podniebnych strychach
popuchły jej pantofle
więc czasem pozwala sobie
na parę kroków lotu
u wylotu Grodzkiej

wtedy ciągnie ją
do dawno zapodziejanej
wsi na obrzeżach
życiorysu
ale wie że bez jej starania
na zawsze zgaśnie
gołębi raj
za siedmioma piętrami
za siedmioma progami

KONIEC WIZYTY

motto: ... więc zaraz wróc
i zaczniemy od nowa
(Baška Ž.)

muszę już iść
czekają na mnie
pilne sprawy
muszę

ale nie idź
jeszcze
tak pięknie klei
nas rozmowa

muszę muszę
iść
do swoich
daleko

ale nie odchodź
jeszcze
nie zostawiaj nas
całkiem
samych

czekajcie
wrócę
niebawem znów
będzie początek
świata

OSOBY DRAMATU

całe szczęście
zmartwychwstajecie
wszyscy którzyście umierali
na naszych oczach
od wody od ran od wina

schnie za sceną suknia Ofelii
i zakrwawiona koszula Hamleta
a szczury nie muszą uciekać
z tonącego
więzienia Danii

zmartwychwstajecie ciałem
w świetle reflektorów
co wieczór
państwo znów
udaje się ocalić

ktoś zbiera rozrzucone rapiery
i upuszczony kielich królowej
nie obawiając się dotknąć brzegu
ostrza

rekwizytor nie umiera
w tej sztuce
i nie zmartwychwstanie

biedny prawie jak Yorick
który umarł naprawdę
i nie pojawi się przed kurtyną
choć tłum skanduje
sto lat wszystkim
umarłym gdy podnoszą się
ze sceny
od kilku wieków
niezmiennie

CZUWANIE PRZY ODCHODZĄCEJ

CZUWANIE PRZY ODCHODZĄCEJ

dla L. w rocznicę odejścia

twoja twarz ciepła
od płomyka świecy
topi się
mamy czas tylko
do rana

gdy płacząc mówisz
popatrz aniołek
leci tu z dzwonkiem
kolebie ścianą drzew
coraz wyżej
wiatr unosi
szmer serca
spomiędzy gałęzi

las jak harmonijka
na oknie
końce palców
porasta cisza
wilgotny mróz
twojej pościeli

SPOTKANIE

w szybie wystawowej
mignęła mi
ta starsza pani
z pomarszczonym uśmiechem
w kolczykach mojej babci

przesunęła się miękko
muskając kapelusz
na przekór wiatrowi
minęła

w moim futrze
zaplątany siwy włos
nie wiadomo skąd
patrzę w lustro

SZKOLNY JUBILEUSZ

ubywa nas

chudną nasze notesy
z adresami
wykreślamy imiona nazwiska
wrywamy kartki
z pamięci

ubywamy
między innymi

ROZMOWA O PRZELOTNYCH PTAKACH

Pani Stanisławie Pudelkiewicz

pomyślałam jutro
porozmawiam z malarką
o przelotnych ptakach
z obrazów

ale patrzyła na mnie
oczami podobnymi do piór
jej włosy białały
z każdą minutą

powiedziałam jutro
będzie czas
porozmawiamy

jutro mnie nie będzie
odrzekła
na szczęście

bo nie przyleciałyby do mnie
ptaki
i nie siedziałyby
na siwej gałązce
pod nieobecność
jej ustałych dłoni

EPITAFIUM DLA ODCHODZĄCEJ

Agatce

nasze dzieciństwa
tupały po tych samych schodach
grały w klasy
na tym samym podwórku
bawiły się w chowanego
w zakamarkach wspólnej przestrzeni

nasze dzieciństwa
podpatrywały świat
przez tę samą dziurkę
od klucza
przeszły przez tę samą ospę
deszczowych kałuż
jak przez morze czerwone

teraz śpią
w łózkach naszych matek
porośnięte chwastem pamięci
wątlą lila lilijką
na garbatych plecach placu
zabaw dla dzieci
które odeszły

plac zniwelowano
w ubiegłym roku
pod budowę nowych domów
w ich prostokątnych
oknach szklą się
czasem nasze twarzyczki
przezroczyście
portrety nagrobne

SAMOTNOŚĆ

z mojego okna widzę kobietę
stoi w płaszczu za łysym żywopłotem
nagle
samochody przejeżdżają
przez nią
na wskroś
w jedną i drugą stronę

nie ma kobiety
nigdy
nie było

tylko czapka
jak głowa
wisi na gałęzi
płaszcz opada
z przezroczystych ramion
na ulicę

ROZPOZNANIE

nareszcie ją zauważyłam
w pustym pokoju
naprzeciwko lustra
na obwisłym krześle
z rozkrojonym granatem
w dłoniach
z cierpką pestką milczenia
pod językiem
z twarzą jak tarcza
zegara

siedzi
w pewnym oddaleniu
osłonięta
sztywnym zawojem włosów
ukryta
za zmiętymi liśćmi powiek
prawie nie do poznania

naraz się zdradza
skrzywieniem palca
pochyleniem głowy
ruchem stopy
obutej w pantofel
na szpilce
obnaża się
do samej skóry

bolesne rozpoznanie

i to mam być
ja która
dotąd
myślałam o sobie
jestem

tymczasem
pora zacząć myśleć
byłam
odtąd dotąd

VANITAS

(motyw ze St. Wyspiańskiego)

gdybym musiała umrzeć
tego lata
kupisz mi niebieską
sukienkę
w dmuchawce
i skrzydlate kolczyki
ulotny strój
na wszystkie bale
ważek i motyli

rozsypię go
przezroczytymi dłońmi
po łagodnym krajobrazie
nitka po nitce
wzleci
pajęczynką światła

gdybym musiała umrzeć
kupisz mi sukienkę
w kolorze wszystkich łąk
tam gdzie pójdę
przez rozchylone trawy
by być
pocałunkiem wilgoci
na dnie kamienia

ROZSTANIE

moje zdradzieckie ciało
odchodzi ode mnie
po kawałku
w ażurowych miskach
zastygły pagórki mięsa
zamiast mlecznego krajobrazu
z lasem w tle

moje zdradzieckie ciało
zapomina o mnie
choć próbuję je zatrzymać
soczystością uśmiechu
na szypułkach rzęs

wciąż szykuje się do drogi
w aromat
gnijącej wiśni

WIELKIE PRANIE

wyszłam z siebie
niepodobna
dłużej czekać

powiesiłam pod rynną
rozpostartą na wieszaku
białą koszulę
z haftem
i na sznurze
spódnicę
przeziętą w pół prawie
jak nad balią

to wszystko

sama balansuję
na poręczy balkonu
taki wiatr
że szyba odbija
kwietny wzór
przezroczystej firanki

tylko

PRZEŻYCIE METAFIZYCZNE PRZY OTWARTYM OKNIE TRAMWAJU

wskoczyłam do tramwaju
w ukośny błysk
automatycznych drzwi
trzask

jadę dobrze jadę
oddech oddech przyspieszony
puls jeszcze biegnie
jestem właśnie jestem

zaglądam w lustro szyby
by zręcznie odgarnąć włosy
z rozwianej twarzy
dyskretnie zetrzeć ślad biegu
wygładzić dekolt

ale oczami ogarniam
skrzyżowanie szyny przystanki
aż po horyzont
świat
jak zwykle
toczy się
mimo że ktoś usunął
pryzmat mojej twarzy
z pola widzenia

KATASTROFA

a jeśli coś zostanie
to tylko na ziemi

buty ze śladową
ilością kroków
spodnie ze wzgórkami
kolan
rękawiczki dotknięte
zeszłej jesieni
lekko zagiętymi palcami

w szafie niedonoszone
ubrania
w szufladach
poczęte wiersze
kalendarz
z poronionym
planem życia

reszta nikomu niepotrzebna
ciało
odleci w niewiadomym kierunku
wszechświata

POZOSTAŁYM

będziecie mówić o mnie
była
taka piękna taka
pełna życia
nosiła tańczące spódnice
i w uszach srebrne
wiersze

będziecie mi zazdrościć
zgasła tak wcześnie
że nie zdążyła się zestarzeć
żadna jej fotografia
prostokątne obwódki obejmują
kwiatostan jej ciała
zatrzymany w pełni
lata

potem przewiążecie bukiet
po-ciętych obrazków pamięci
fioletową wstążką
zamkniecie szufladę

będziecie

KRÓTKI MONOLOG JESIENNY Z DIDASKALIAMI

wiszę
na nitkach
babiego lata
wyświechtany strzęp
brokatu
z podniebnego klonu

wiszę
na nitkach
coraz bliżej ziemi
z dnia na dzień
coraz bardziej
mnie nie ma

za kurtyną
wiatru
płacze łysiejące drzewo

MINIATURA JESIENNA BARDZO KOBIECA

listopad w uszach
kołyszą się drzewa
i liście
spadają
na zbrunatniałą sukienkę
w której mnie pochowacie
pod śniegiem

PRZEŚLANIE

cóż ci powiedzieć
duży synku
na pociechę
gdy opuszcza cię
zwierzątko twojego dzieciństwa ?

kłamać o mysim niebie
pełnym ziarna
i ciepłej waty ?
filozofować
o naturze rzeczy ?

więc kiedy chowasz
tę maleńką śmierć
w martwym pudełku
po czekoladkach
i łyzy w rękawie
trochę za dużej
koszuli
mogę tylko powiedzieć
że nic cię nie pocieszy
i że tak
powinno być

i uśmiechnąć się
do ciebie
dopóki jestem

NOTATKI Z WIECZORU AUTORSKIEGO

NOTATKI Z WIECZORU AUTORSKIEGO MŁODO ZMARŁEGO POETY

pamięci Piotra

tak to jest
ta dziewczyna
z fotografii
między wierszami
starsza
o osiem lat
jego nieobecności
o tę rozerwaną
z nagłą miłość

siedzi splatając i rozplatając
dłonie
drżące od świec
w palcach
obraca obrączkę
od mężczyzny który przyszedł później

tak to są
jego bliscy byli
z nim szli pamiętają
przezrocze
czasu przeszłego
zapachy wiatru i świeżej trawy
wschody ognisk
szumność wody
chrzęst piasku
kroki
nieopatrznie deptanych mrówek

tak to jest
jego matka
uśmiecha się
raczej nieziemsko
on jest tu
z nami
mówi

tak to jest
jego fotografia
jego książka
z wierszami
jego życie zamknięte
czerwoną różą

kamień
przekuty w słowo

SĄSIEDZTWO

znaki obecności są znikome
ryba dla kotów koło śmietnika
brama otwarta pościel na balkonie
pozostawiony na mgnienie zapach
kaszy z gulaszem i naftaliny
dym z gałązek
palonych w ogrodzie
znaki obecności
są znikome
i szybko znikają

nieobecność znaków
sprowadza niepokój

jesteś nie jesteś
żyjesz nie odszedłeś

stoję u drzwi
i nasłuchuję
ciszy
stukam
w ciemność
czekam
na schodach
dzwonią klucze

przez chwilę
dotykam twojego istnienia
na zachwianej twoim krokiem
kładce światła
pod progiem

tak żyjemy od lat
podpatrując się nawzajem
ja w wiecznej niepewności
czy jesteś
ty w oczekiwaniu
powrotów

ARS POETICA

zobaczyłam dziś sąsiadkę
pierwszy raz od miesiąca
wyszło słońce
więc siedziała w ogrodzie
z daleka od moich kroków

nie widziałam jej tak dawno
a przecież zawsze wiem
kiedy jest a kiedy jej nie ma

mówią mi o tym
nikłe znaki
na przykład
zapach na klatce schodowej
albo brama
zamknięta na klucz

pomyślałam
takie znaki to temat
na wiersz
ale co dalej

zaczęłam pisać
linijka po linijce
sąsiadka zmieniała się
w sąsiada
a sąsiad w Pana
Boga

i tak pisze się
wiersz
o transcendencji

TOREBKA ALBO DAMSKA ARS POETICA

chodzę z tym wierszem
pod pachą
jak z nową torebką
trochę mnie uwiera
bo wciąż kanciasty
przypomina o sobie
w tramwaju i w sklepie
gdy tylko sięgnąć do środka
niby wszystko ma
na swoim miejscu
poukładane w przegródkach
w odpowiednim porządku
a jednak
wciąż pełno
pustych miejsc
i jak się okazuje
brak niezbędnych przedmiotów
na przykład dowodu
na konieczność istnienia

WARIACJE NA TEMAT CZERWONEGO KAPTURKA

Ani, która nie rozumiała wierszy

wchodziłaś w ciemny las
metafor
mała dziewczynka
z koszyczkiem pełnym
bajek i wierszyków

w każdym zdaniu czaił się
ciemny sens
i szczyrzył kły
z obłudną miną
udawał to jasne

nawet babcia wyglądała
nieswojo mówiła
zagadkami pokrętnie
odpowiadała na pytania

potem dostrzegłaś
że skrywa zęby
udawała to jasne

a kiedy już miała cię
zjeść przybył myśliwy
i wszystko pięknie rozwiązał

objaśniał każde słowo
znak na drodze
przeniesienia
ze świata do świata
światło zakolysało się
w gałęziach drzew
dotarło do krzewów
obudziło mchy

wilk przemówił
ludzkim głosem
bo z babcią
miał wiele wspólnego

mała dziewczynka
szeroko otwarła oczy
i dojrzała
w trawie wiersz

teraz rozumiem powiedziałaś
zbierając poziomki
znaczeń

pełny koszyk

DOM POETY

Jerzemu Harasymowiczowi

w domu poety
nie dzwonią dzwonki
by nie płoszyć przyczajonych słów
stół zielenieje uroczyście
pod kartką natchnienia
a wkoło krzesła proste
jak buki

ze ścian zwieszają się
nitki wierszy utrudzone
ciągnąc stół
co na drewnianych nogach przechodzi
w uroczyisko mroczne

okna obrastają
rzęsami
nad nimi
wiklina wiatrem czesana
skrzypi rzewnie
zapleciona w warkocze
snu
dla zielonookiej mgły puszystej
zadomowionego kota

w kapeluszu spaceruje
żuk wąsaty-
błądny ognek świecy
zapada się w przepastne kręgi
tajemnicy

DOM POETY W WEIMARZE

zwiedzanie zaczyna się
od dołu
ten dom naprawdę jest
za duży na zwykłego człowieka
ale Goethe to był wielki mąż
Salve

na dole sale
reprezentacyjne wyżej kolekcje
gabinet sypialnia
opodal schodów
za barierką
butwieje biblioteka
tysiące grzbietów
w skórze i płótnie
zapada się w siebie wrasta
w drewno

złoto tytułów zmiótł
czas troskliwą miotełką kustoszy
zostały tylko blizny tłoczeń
słabo widoczne z daleka
niepodobna rozróżnić
Arystotelesa od Platona
i ksiąg alchemicznych
od mineralogii
barwne widmo trwa
w oczach
powidok świata
myli wzrok

tymczasem między półki
wstęp mają tylko zmęczone
schodki poety
pięć stopni cienkich
jak pergamin oświeconych
inicjałem kroków
do niebieskiej biblioteki

Goethe nie był wysoki
mówi przewodnik
proszę spojrzeć w lewo
pulpit

przykłęka
pod ciężarem wiecznego
pióra

MUZEUM PRZYRODNICZE W G.- STUDIUM PRZEDMIOTU Z NATURY

w elektrycznym świetle pęka
futro na starym tygrysie
pantera zawisła na gałęzi
z malowanego styropianu
krokodyl pokracznie brodzi
po parkiecie
i ze starości traci zęby
słoń kroczy pofałdowaną
wydmą z beżowego sukna
a szakal zabłądził
między świeże bluszcze
paw przysiadł na gwoździu
tyłem do publiki
by zaprezentować ogon
właśnie wczoraj odkurzany

przed wejściem stadko wróbli
wydziobuje z chodnika
resztki rozdeptanego ślimaka
w pełnym słońcu
dogorywa oddech powietrze
opada ciężkie
od mdlejących much

OGRÓD BOTANICZNY W LIPCU

wiersz okazjonalny dla Violi

dziś w palmiarni wieczór
dla niezłomnych
saksofonista gra na jednej nodze
aktorka czyta wiersze bez głosu
i nawet fotograf kuleje na jedno oko

zamknięty w balii pomarszczonej
od starości
żegluj kolos z Wysp Kanaryjskich
unoszą się na splątanych falach
własnych korzeni

ociemniała strzałka
zapomniała drogi
ale wciąż prowadzi
w przestrzeń gdzie świece
porasta stearyna
na kształt lian
dla motyli
a spod szklanego nieba dolatuje
ptasi rój śpiewów

dziś w ogrodzie wieczór tylko
dla skrzydlatych
oni potrafią wzlecieć
nawet z kulą u nogi

DYPTYK ANIELSKI
I. KUPOWANIE ANIOŁA W SKLEPIE
Z PAMIĄTKAMI

wie pani
anioły są zwykle
niewidzialne
dlatego noszą szczelne suknie
spod których wystają
przezroczyste włosy
i czasem skrzydła
muśnięte blaskiem

o proszę spojrzeć
ten ubrany na żółto
ma skrzydła
w osobnym pudełku
może je chować
w razie potrzeby
albo zakładać

ale ten
złotowłosy
jakiś niesforny
ma ciało
całkiem różowe
i nagie
skrzydła
pociągnięte
werniksem
do odpowiedzialności

niebywale
niedopuszczalne
całkiem realny aniołek
z gipsu

przeceniony

II. MĘCZEŃSTWO

ten anioł długo wisiał
na ścianie
nim odpadł

zostały tylko skrzydła
na wylot
przebite gwoździem
i całkiem łyse
różowe
od zachodu
albo od krwi

poza nimi
cały był
z jednej bryły
chlebowego ciasta

można skleić
jeszcze powisi

ARCHEOLOGIA

jeśli kiedyś wykopią mój szkielet
będą oceniać mnie według wnętrza
wskazą braki w uzębieniu
złamania kości
błędy genetyczne
może zajmą się łańcuchem
DNA
albo tym złotym
zapadniętym w miejscu
po prawej ręce

określą mój wiek
w tysiącach lat
a wiek moich kości
umieszczą w przedziale
od - do

na podstawie
zachowanych szczątków
wyciągną wnioski
które sprawdzić niepodobna
komputer pokaże
twarz i ciało
na ekranie uśmiechną się
odtworzone usta
po latach znów
otworzą się oczy

gotowy obraz
kopalnej kobiety
przypisany do odpowiedniej epoki
zostanie
umieszczony w systematyce odkryć
jako numer
przypuśćmy dwunastocyfrowy
z kodem dostępu dla badaczy

zaiste
jeśli kiedyś wykopią mój szkielet
będę
wcale cennym znaleziskiem
jeśli nie wykopią
nie będę
wcale

Katarzyna Turaj-Kalińska

BYLIŚMY, JESTEŚMY, NIE BĘDZIE NAS

Przemijanie to zjawisko powszechne, może najpowszechniejsze we wszechświecie. Podlegają jego prawom gwiazdy i galaktyki, lądy i morza, pustynie i masywy górskie. Nieustanny rozpad trwa od początku czasu i niektórzy skłonni są definiować czas jako przechodzenie wszystkiego, co istnieje, od formy do bezkształtu, od skupienia do rozproszenia, od porządku do chaosu, czyli maksymalnej entropii.

Istnieją jednak wyjątki od tej reguły. W końcu gwiazdy nie tylko umierają, lecz także się rodzą. Materia nie tylko idzie w rozsypkę, ale i na powrót się skupia. Niekiedy zaś dąży nawet jak gdyby pod prąd czasu. Najbardziej zdumiewającym przykładem takiego dążenia jest życie. Żywe istoty od bakterii do słonia powstają na przekór wszechobecnemu prawu wzrostu entropii. Najpierw wyłaniają się z chaosu jako ścisły porządek atomów. Potem pobierają ze świata materię i energię, aby ten porządek utrzymać. To walka na śmierć i życie, w której życie musi przegrać.

W dodatku trwa ono zbyt krótko, by to co żyje, zdołało się nim nasycić.

Niewiele wiemy o frustracjach i lękach spowodowanych własną skończonością, jakie miewa słoń, bakterii zaś nie podejrzewamy o nie wcale, zapewne nieco pochopnie. Wiemy za to z pewnością, że nasz własny gatunek lamentuje nad przemijaniem dość głośno, i że ów lament przybiera niekiedy wyszukane formy religijne, filozoficzne, artystyczne. Prędzej czy później mierzy się z nim każdy pisarz, który nie chce poprzestać w swojej twórczości na krótkiej, doraźnej perspektywie czasowej. U poetów zaś, którzy częściej niż prozaicy skłonni są fruwać z chwili na chwilę, zainteresowanie upływem czasu – a w szczególności sposób jego demonstrowania – jest jednym z wyznaczników artystycznej dojrzałości.

Oto nowy, czwarty tom krakowskiej poetki, Marzeny Dąbrowy-Szatko. Owoc kolejnej w historii literatury potyczki artysty z czasem i świadectwo, że temat ten nie został bynajmniej w naszej kulturze wyczerpany. Przeciwnie, każda epoka zobowiązuje swoich twórców do poszukiwania dla niego nowego języka. W poprzednich tomach tej autorki znajdziemy kilka wierszy, będących świadectwem takich poszukiwań, ale dopiero w *Powrocie na Ogródową* przybierają one kształt tak spójny i konsekwentny.

Tytułowy wiersz przynosi czytelnikowi pokusę naiwnych pytań. Czy *Ogródowa* istnieje naprawdę? Gdzie leży? Czy autorka rzeczywiście na nią powraca po świetliste *déjà vu*, jak sugerowałby to początkowy wers: *wchodzę w tę ulicę/ jak w slajd /pod światło pamięci?*

Na szczęście odpowiedzi na podobne pytania nie ma i nie potrzeba. Wszyscy mieszkaliśmy kiedyś przy jakiejś *Ogródowej* i wszyscy odczuwamy przemożną potrzebę, aby wrócić na nią po latach. Nieskończenie pragniemy tego bolesnego rozpołowienia – jednoczesnego przebywania w dwóch miejscach na raz. Bowiem *Ogródowa* to adres podwójny - w przestrzeni i w czasie. Dla przybysza z głębin przeszłości może nawet przede wszystkim ten drugi, noszony w sobie i pielęgnowany tak długo, aż go nie zrujnuje pewnego dnia wizyta na miejscu i czołowe zderzenie z terażniejszością. Na szczęście i tutaj akcji towarzyszyć będzie reakcja. Przeszłość nie pozostanie dłużna terażniejszości: *niesie się gwar przeszłości/ od przyjezdnego śmiechu/ pękają drewniane balkony* – czytamy w dalszej części utworu.

Obok miejsc, w których terażniejszość i aktualna obserwacja zderza się z przeszłością i pamięcią, poetka wysyła czytelnika także i tam, gdzie chwila obecna przepycha się z nadchodzącą już wielkimi krokami przyszłością, w której: *na urwanym brzegu/ zostaną/ puste krzesła książki/ okulary pełne mroku/niedowierzanie/ że są/ gdzie są* (*Krajobraz powulkaniczny*).

Owo niedowierzanie, że są, gdzie są, odnosi się być może do lazurkowo-widokówkowej urody miejsca (Santorini), przede wszystkim jednak przewija się przez cały tom jako nieustanne zdziwienie, że się jest, gdzie się jest – w czasie.

Bo w nim - jest się jeszcze i już się nie jest niemal równocześnie. W *Powrocie na Ogrodową* znajdujemy kilka utworów, w których autorka w sposób mistrzowski oddaje - i wywołuje u czytelnika - całe bogactwo uczuć towarzyszących odczuwaniu upływu czasu. Do moich ulubionych należy między innymi *Epitafium dla odchodzącej* z jego urokliwym początkiem: *nasze dzieciństwa/ tupały po tych samych schodach/ graty w klasy/ na tym samym podwórku* i chwytającym za gardło zakończeniem: *plac zniwelowano/(...) pod budowę nowych domów/ w ich prostokątnych/ oknach szklą się/ czasem nasze twarzyczki/ przezroczyste/ portrety nagrobne*. Podobnie wstrząsające wrażenie robi wiersz o nad wyraz bezpośredniej konfrontacji ekspansywnej energii dzieciństwa ze zniechęceniem, jakie niesie starość: *Anna wnosi schody/ na wysokość/ drugiego piętra/(...) / spłoszony/ trzepot serca/ zdradziecki węz poręczy/ wyslizguje się z dłoni/(...)/ z tupotem skrzydlatych tenisówek/ przelatuje obok/ anioł ze skakanką/ zdziwiona jaskółka brwi/ unosi go prosto do nieba/ mieszkania na trzecim piętrze (Anna wchodzi po schodach)*. Kiedy jednak istnieje poważne domniemanie, że poetka pisze o sobie, jej ton staje się chłodniejszy, a ona sama bardziej zdystansowana: *świat/ jak zwykle/ toczy się/ mimo że ktoś usunął/ pryzmat mojej twarzy/ z pola widzenia (Przeżycie metafizyczne przy otwartym oknie tramwaju)*. Czasami bywa wobec siebie wręcz okrutna: *moje zdradzieckie ciało/ odchodzi ode mnie/ po kawałku / w ażurowych miskach/ zastygły pagórki mięsa/(...)/ wciąż szykuje się do drogi/ w aromat/ gnijącej wiśni (Rozstanie)*.

Widzimy więc, że istota ludzka, choć prawdopodobnie najsilniej ze wszystkich bytów przeżywa powszechnie obowiązujący wzrost entropii, może się bronić paradoksalnie przed odczuwaniem jego grozy, stanąwszy

z nim twarzą w twarz. Może stosować autoironię, a nawet autosarkazm. Ma też złudzenie trwania, które jednak niewiele rekompensuje, zwłaszcza, gdy patrzeć na to trwanie *ex post*: *i to mam być/ ja która/ dotąd/ myślałam o sobie/ jestem/ tymczasem/ pora zacząć myśleć/ byłam/ odtąd* (Rozpoznanie).

Takiego przywileju trwania *odtąd* nie mają pejzaże, w które wkomponowujemy swoje istnienie. Niezależnie od tego, gdzie je napotykamy – w Santorini, Palermo, Rzymie, Krakowie, czy jakimś anonimowym Ł., O. albo M. Na *Ogrodowej* czy *Dalekiej* lub zgoła, gdzie diabeł mówi dobranoc. Krajobrazy są za to w każdym momencie swej rozłożystej egzystencji – „pięknymi katastrofami”. Tyle że powolnymi, dzięki czemu można się w nich spokojnie rozsmakować, przygotowując duszę na katastrofę własną.

I to właśnie robi w swoim najnowszym zbiorze Marzena Dąbrowa-Szatko. Rozsmakowuje nas w spektakularnie umierających pejzażach, gdzie powracająca natura próbuje się uporać z resztkami cywilizacji – *zdzi-czały krzak bzu/ wstępuje po schodach/ na obity taras* (*Krótki wiersz o zaniechaniu*). Albo na odwrót, cywilizacja brutalnie wdziera się w naturę i *konające wsie/(...) przemykają chyłkiem/ przed rozpedzonymi oczami/ samochodów* (*Umieranie wsi*).

Używa do tego wszelkich sił i środków. Czasami są to oryginalne i trafne metafory: *muchy czarne dziurki w ciszy/ pocięty obrazek nożycami lotu/ ledwo się trzyma/ na zszywaczach zatławionych oczu* (*Gwasz podmiejski*).

Kiedy indziej ciekawe brzmienia: *skrajem ogrodu skradają się/ iskry jaskrów* (*Krótki wiersz o zaniechaniu*).

Lub dla odmiany wizje malarskie sygnowane wprost wpływami Dudy-Gracza, Magritte’a, Lotta. Czy też filmowe klimaty prowincjonalnej beznadziei, które skojarzyć możemy z poetyką Kusturicy albo Kolskiego (*Noc poślubna, Malowanie niedzieli*).

Bywa i tak, że autorka sięga do wysłużonej rekwi-

zytorni przemijania – wzywa na pomoc kalendarze i zegary, nazywa po imieniu krecią robotę czasu w tytułach wierszy: *Koniec lata, Koniec wędrówki, Zmiana dekoracji, Pożegnanie pejzażu, Zachód słońca w sierpniu, Ożywianie zegara*. Jednakże nawet wtedy zawsze potrafi zgrabnie minąć się z banałem, a powszechnie znanych atrybutów użyć jedynie jako spoiwa łączącego jej własną, współczesną wizję z tradycją literacką. Często w sukurs przychodzi wspomniany wyżej dystans i zmysł autoparodii, skutecznie chroniący przed frazesem i patosem. Najlepiej widać to w zamieszczonych jeden po drugim wierszach z cyklu *Notatki z wieczoru autorskiego...* Pierwszy mówi pięknie o znikomych znakach obecności – może zwykłych sąsiadów, a może samego Boga: *znaki obecności są znikome/ ryba dla kotów koło śmietnika/ brama otwarta pościel na balkonie/ (...)/ tak żyjemy od lat/ podpatrując się nawzajem/ ja w wiecznej niepewności/ czy jesteś/ ty w oczekiwaniu/ powrotów (Sąsiedztwo)*. Drugi naśmiewa się z pierwszego, rujnując całą jego kunsztownie zbudowaną z codziennych szczegółów metafizykę i obnażając chwytły poetyckiej sztuki: *zaczęłam pisać/ linijka po linijce/ sąsiadka zmieniała się w sąsiada/ a sąsiad w Pana/ Boga/ i tak pisze się/ wiersz/ o transcendencji (Ars poetica)*.

W rezultacie powyższych – i wielu innych tu nie wymienionych, ale zawsze bardzo świadomych zabiegów artystycznych, powstała bez wątpienia najlepsza, najdojrzalsza książka Marzeny Dąbrowy-Szatko. I jedna z najciekawszych propozycji w najnowszej poezji polskiej, niezależnie od tego, co krzyczyć będą media podążające śladem płytkich recenzenckich mód. Pozostaje mieć nadzieję, że czas, wykreowany na bohatera tej książki, odwdzięczy się jej najlepszym ze swych możliwych działań. Oddzieli ziarno od plew w literaturze naszej chaotycznej epoki i przyzna *Powrotowi na Ogrodową* należne mu miejsce, trwalsze niż sezonowa moda, koniunktura czy koteria.

Spis treści

OŻYWIANIE ZEGARA

Powrót na Ogrodową

Cynamon

Krótki wiersz o zaniechaniu

Deszcz w górach

Koniec lata

Umieranie wsi

Noc poślubna

Gwasz podmiejski

Malowanie niedzieli

Ósmy miesiąc

Pożegnanie pejzażu

W oknie

Poranność

Odosobnienie

Trądzik wiosenny

Wrzesień 2001

Miejski blues

Listopad

Etiuda katowska

Rodzinny album albo poznanie

Fotografie letnie z gruszą w tle

Szukanie lata w polu

Zapach lat

Martwa natura z aniołem

Koniec wieku (odjazd)
Koniec wędrówki
Ożywianie zegara
Zachód słońca w sierpniu
Krajobraz powulkaniczny
Zmiana dekoracji
Podglądanie życia w rzymskim zaułku

OSOBY DRAMATU

Realizm
Wariatka z gołębiami
Kobieta która czeka
Wyprzedaż
Lekcja matematyki na siódmym piętrze szpitala dziecięcego
Anna wchodzi po schodach
Dwie kobiety na moście
Płaskorzeźba z obolem
Portret kobiety z miasteczkiem w tle
Wszystkie nasze codzienne sprawy
Andzia, Elżunia, Oleńka
Kelnerki z baru na rogu
Szkic do portretu matki na tle
Stare małżeństwo
Maria Magdalena
Ostatki
Podzwonne
Tak zwany obrządek świecki
Poddasze ciotki Wikty

Koniec wizyty
Osoby dramatu

CZUWANIE PRZY ODCHODZĄCEJ

Czuwanie przy odchodzącej
Spotkanie
Szkolny jubileusz
Rozmowa o przelotnych ptakach
Epitafium dla odchodzącej
Samotność
Rozpoznanie
Vanitas
Rozstanie
Wielkie pranie
Przeżycie metafizyczne przy otwartym oknie tramwaju
Katastrofa
Pozostałym
Krótki monolog jesienny z didaskaliami
Miniatura jesienna bardzo kobieca
Przesłanie

NOTATKI Z WIECZORU AUTORSKIEGO

Notatki z wieczoru autorskiego młodo zmarłego poety
Sąsiedztwo
Ars poetica
Torebka albo damska ars poetica
Wariacje na temat Czerwonego Kapturka

Dom poety

Dom poety w Weimarze

Muzeum przyrodnicze w G. - studium przedmiotu z natury

Ogród botaniczny w lipcu

Dyptyk anielski

I. Kupowanie anioła w sklepie z pamiątkami

II. Męczeństwo

Archeologia

POSŁOWIE